

Boulad Henri SJ

Chciałbym rozpocząć nasze spotkanie od pytania: czy wierzycie w istnienie aniołów? Może się wam ono wydać dziwne, bowiem aniołowie należą do sfery mitologii, a nie rzeczywistości, poza tym powszechnie wątpi się w ich istnienie. Ja jednak wierzę w ich istnienie.

Po pierwsze, anioł jest objawieniem Boga. Gdy w Biblii mowa jest o pojawieniu się aniołów, to w istocie opis dotyczy działania i obecności Boga. Gdy Jakub spotyka Boga i podejmuje z Nim walkę, to Bóg skrywa się pod postacią silnego anioła. Bardzo często Bóg ukazuje się, przybierając postać i rysy anioła. Kim właściwie jest anioł? Spróbujmy się nad tym wspólnie zastanowić.

Gdy Bóg stworzył świat, wycofał się z niego, aby mógł funkcjonować według własnych zasad i reguł. Jednak nadal w nim działa, tyle że nie bezpośrednio, ale za pośrednictwem stworzeń.

Bóg nie ma swojego języka, ale dziś wieczorem ma On mój język, aby do was mówić. Bóg nie ma stóp, ale ma wasze stopy, które przyniosły was dzisiaj do centrum oświatowego Sankt Virgil. Innymi słowy, Bóg, który jest bezsilny, działa przez swojego Ducha i przez nas, którzy mamy możliwość wcielania Jego natchnienia w czyn. Gdy Duch Boży, działający w człowieku, wywołuje w nas wewnętrzne poruszenie i akceptujemy je, to wówczas działa Bóg. Niesłychane, mówi się wprawdzie o wszechmocy Boga, ale właściwie nie ma jej już w dawnym znaczeniu. Jego wszechpotęga zależy od naszego zrozumienia i naszej zgody. Jeśli powiemy „nie”, Bóg nie może wbrew temu działać. Bóg jest związany wolnością człowieka, jego „tak” i jego „nie”. To straszne, ale tak właśnie jest.

I w ten sposób, gdy Bóg przeze mnie działa, staję się Jego aniołem. Pozwalam Bogu przyjąć konkretną postać dla realizacji określonego celu. Anioł jest inkarnacją, ucieleśnieniem Boga w określonym działaniu, w precyzyjnym przesłaniu, które Bóg chciałby nam przekazać. Staję się aniołem na tyle, na ile pozwalam się napełnić Duchem Bożym i prowadzić przez Niego. Bóg w tajemniczy sposób popycha mnie do działania, które właściwie jest Jego działaniem.

Przybywszy do Wiednia zastałem w moim pokoju wazon ze wspaniałymi liliami. Został tam wniesiony na polecenie pewnej zaprzyjaźnionej pani. Kwiaty te były dla mnie znakiem od Boga. Bóg chcąc mi powiedzieć, jak bardzo Go cieszy moje przybycie do Wiednia, podsunął owej pani taki gest, a kwiaty na stole, obiekt mej cichej kontemplacji, stały się dla mnie znakiem miłości Boga. Ta Pani jest dla mnie aniołem.

Oto inny przykład. Podczas posiłków jesteśmy w tutejszym domu obsługiwani przez młode dziewczęta, są one bardzo miłe, z sympatycznym uśmiechem przynoszą nam zupę, drugie danie,

ciasto i herbatę. Jak dalece potrafimy to dostrzec, aby powiedzieć sobie w duchu: „Boże, Ty mnie kochasz. Ty działasz przez tych ludzi, którzy mnie otaczają i obsługują”. Anioł powinien stać się dla nas pojęciem potocznym, określeniem tego wszystkiego, w czym rozpoznajemy działanie Boga. Bożą rękę rozpoznajemy w osobie, która przynosi nam to, co konieczne, uśmiech Boga w człowieku, który otwiera nam swe serce, spojrzenie Boga w pielęgniarce, która pochyła się nad nami w szpitalu po ciężkiej operacji, uścisk dłoni Boga, gdy przychodzi do nas przyjaciel i mówi: „Jestem z tobą w twoich trudnościach, w twoim smutku”. I nagle czuję ciepło, tę ludzką bliskość przy boku — to Bóg mówi przez człowieka. W tej ręce czuję puls Boga. I odwrotnie, jeśli wewnętrzny głos Boga każe nam trzymać czyjąś dłoń, kogoś przytulić, dodać mu otuchy, to jest to działanie Boga, które uwidacznia się przez nas.

To, co mówię, nie jest próbą odmitologizowania wyobrażenia anioła, raczej próbą wyrażenia tego, co to wyobrażenie oznacza w Biblii. Czy Anioł Gabriel, który przybył do Maryi, był rzeczywiście wysłannikiem z nieba? Anioł nie przychodzi z nieba, anioł przychodzi z ziemi, ponieważ tu jest Bóg! Słowo *angelos*, od którego wywodzi się słowo anioł, oznacza w języku greckim po prostu wysłannika, posłańca. Posłaniec nie musi być koniecznie wysłany z nieba. A zresztą moje wyobrażenie anioła odpowiada w pełni wyobrażeniu Bożego wcielenia — Bóg działając, przyjmuje postać człowieka. Obecnie Bóg działa także przez nas.

Rozszerzając to, co już powiedziałem, musimy włączyć do naszych rozważań również pojęcie sakramentu. Katolicy mówią o siedmiu sakramentach. Protestanci powiadają, że jest ich trzy. A zatem trzy czy siedem? Czy mam wam powiedzieć, jakie jest moje zdanie na ten temat? Nie ma ani trzech, ani siedmiu. Jest ich siedemdziesiąt siedem, siedemdziesiąt siedem razy siedem. Jest ich siedemset siedemdziesiąt siedem razy siedem. Dlaczego mielibyśmy ograniczać sakramenty do siedmiu? W rzeczywistości liczba siedem jest liczbą bardziej symboliczną niż realną. Dlaczego Bóg miałby działać tylko przez siedem sakramentów? Również ten mikrofon jest Bożym sakramentem. Pozwala mi komunikować się z wami. Może stać się nośnikiem miłości i prawdy. Także ten piękny bukiet kwiatów stojący przede mną jest sakramentem. Sakrament to każda rzeczywistość, która przynosi łaskę. A łaska zawsze jest działaniem Boga, jest miłością Boga. Jeśli się to pojmie, otwiera się przed człowiekiem nowy świat — świat mistyczny.

Kiedy sakramentalna rzeczywistość odsłoni się przed nami i stanie się dla nas zrozumiała, wówczas pojmiemy cały świat w duchu Chrystusa. Świat rozumiany w sposób chrześcijański jest światem wcielenia. Sakrament jest postrzegalnym, uchwytnym, dającym się realnie doświadczyć znakiem łaski. Zaś widzialne znaki łaski, które nas otaczają, są trwałe. I skoro tylko przyjmiemy rozumem, że Bóg czeka na nas w naszej duszy, łącząc się z nami przez nasze ciało i przez konkretne gesty, to wtedy rzeczywistość, w której żyjemy, zostaje uświęcona.

Kiedy mówimy, że małżeństwo jest sakramentem, to najczęściej mamy na myśli konkretne wydarzenie, obrzucenie przez drużny kwiatami panny młodej i błogosławieństwo udzielone przez księdza, i tyle. Innymi słowy, sakrament to uświęcający czyn Boga w konkretnym momencie. Małżonkowie mogliby w takim razie powiedzieć: „Przyjeliśmy sakrament małżeństwa 17 czerwca 1917 roku w naszym kościele”. Ale to błędne twierdzenie! Sakrament małżeństwa to nie jeden jedyny moment, w którym został udzielony sakrament, i na tym koniec. Gdyby ten sakrament tak miał wyglądać, byłaby to katastrofa! Nie, sakrament małżeństwa obejmuje całe wspólne życie małżonków, dzień po dniu, noc po nocy, wszystkie długie lata ich małżeńskiego życia. To młodzi udzielają sobie nawzajem sakramentu. Jest on aktem trwałym, aktem, który wciąż na nowo się odnawia, przez każdy gest, każdy uśmiech, każdą czułość, każde spotkanie, każdą wymianę słów, itd. Sakrament działa, sakrament jest rzeczywistością rozciągniętą i oddziaływującą w czasie. A początek jest tylko punktem wyjścia, nie zaś sakramentem jako takim. Sakramentem jesteście wy, małżonkowie, którzy oddajecie się sobie wzajemnie przez całe wspólne życie.

Weźmy jako przykład eucharystię. Zrobiliśmy z niej coś wyizolowanego, co istnieje samo dla siebie, coś, co może sprawować jedynie ksiądz, na ogół w kościele, w niedzielne przedpołudnie. Jej częścią jest komunia. Całość stanowi sakralny obrzęd, rytuał wyabstrahowany z codziennego życia człowieka. Eucharystia — sakrament. Czy to właśnie Chrystus chciał osiągnąć przez eucharystię? Czy naprawdę chciał stworzyć sakralną rzeczywistość będącą w życiu ludzkim enklawą? Czy może raczej chciał uświęcić zwykły posiłek? To my mamy skłonność do przyswajania sobie pewnych czynności, aby je następnie sakralizować i zamykać w kapsułach, czyniąc z nich małe święte pęcherzyki powietrza w zdesakralizowanym i zsekularyzowanym wszechświecie. Straszna skłonność! Jeśli eucharystia nie uświęca posiłku, który dziś spożyłem w porze obiadowej tu, w salzburskiej jadalni z wieloma miłymi, sympatycznymi ludźmi przy stole, to nie ma ona żadnego znaczenia. Sakrament nabiera tylko wówczas znaczenia, jeśli uświęca resztę ludzkiego życia! W przeciwnym razie nie odpowiada zamiarowi Jezusa, który mówi: „Czyńcie to na moją pamiątkę”. Jezus nie mówi: „Sprawujcie sakramentalny obrzęd”, lecz: „Jestem obecny w każdym posiłku, w każdym spotkaniu, jestem w braterskiej i siostrzanej miłości. To jest moje Ciało, Ciało, które dzielicie, jest nim chleb, jest nim ten codzienny posiłek”. Oznacza to uświęcenie całego życia.

Spójrzmy, biorę szklanekę wody, zamykam oczy i piję. Zapytacie: „Co on robi? Co to ma znaczyć?”. Odpowiem wam. Komunikowałem się z Bogiem! Jeżeli uświadomię sobie, że ta woda jest nośnikiem życia, to w tym momencie staje się ona dla mnie sakramentem. Jeśli pijemy

wodę, powinniśmy czynić z tego zawsze sakrament, w którym znajduje się Bóg. Istnieje mistyczny sposób jedzenia i mistyczny sposób picia.

Jesteśmy ludźmi zagonionymi. W modzie jest *fast food*. Wystarczy tylko nacisnąć guziki: „*sandwich*” i „napój”. Opróżnia się butelkę. W trzy sekundy jej zawartość znika na dnie żołądka. Brak nam umiejętności dostrzegania w procesie biologicznym procesu duchowego. Bóg komunikuje się z nami przez jedzenie czy picie, przez ten napój, który jest tak czysty i dobry! Już byłoby dobrze, gdybyśmy mogli czynić z uwagą to, co robimy. Kosztując wodę, kosztujemy Boga. Niedzielna eucharystia powinna sprawić, iż smak Boga odkryjemy w zwykłym pożywieniu dnia powszedniego, w całkiem zwykłym napoju. Chętnie mówię o mistycznym rozkoszowaniu się, o religijnej zmysłowości, ponieważ pozwala nam ona odkrywać Boga w zwykłym ludzkim fizycznym akcie, przez który otrzymujemy życie.

A gdy woda zostanie mi przez kogoś przyniesiona wraz z miłym spojrzeniem, to mamy do czynienia z podwójnym sakramentem, sakramentem do kwadratu. Bo oto z jednej strony jest woda, którą wypijam, nośnik życia i świeżości, a z drugiej uśmiech osoby, która mi ją przynosi. Zachodzi tu jednocześnie sakrament życia i sakrament miłości, szczególnie wówczas, gdy podane napoje czy potrawy zostały przyrządzone osobiście. Eucharystia obdarowuje nas życiem i odsyła nas do działań, przez które Bóg daje nam siebie w darze.

Święty Jan w swojej Ewangelii ani razu nie wspomina o eucharystii, chociaż w szóstym rozdziale przytacza długą mowę Jezusa o chlebie życia, a cztery inne, obszernie rozdziały poświęca ostatniemu wieczorowi Jezusa z uczniami. W tych czterech rozdziałach nie wspomina o eucharystii, lecz zastępuje ją czymś innym — umywaniem nóg w momencie, w którym właściwie powinien był mówić o eucharystii. W podniosłym tonie zaczyna opis tego wieczoru słowami:

Jezus wiedząc, że Ojciec dał Mu wszystko w ręce oraz że od Boga wyszedł i do Boga idzie...

Każdy oczekiwałby, że teraz nastąpi: „Wziął chleb, połamał go i pobłogosławił mówiąc...” — ale nic z tych rzeczy! Po tym długim wstępie Jan mówi:

...wziąwszy prześcieradło nim się przepasał. Potem nalał wody do miednicy. I zaczął umywać uczniom nogi... (J 13,3-5)

Dziwne, ani słowa o eucharystii! Dlaczego? Zamiar świętego Jana jest jasny. Chciał pokazać, iż prawdziwa eucharystia według zamysłu Jezusa nie tyle polega na samej uczcie, na dzieleniu chleba i wina, które — jak to się mówi — są konsekrowane, co raczej na wymiarze służebnym zawartym w eucharystii. Jeśli rezultatem eucharystii, wspólnie dokonywanego przez nas dziękczynienia, nie jest wzajemne „umywanie nóg”, to nie ma ona żadnej wartości ani znaczenia. Często mówi się o oddziaływaniu komunii świętej na człowieka, o oddziaływaniu na

nas eucharystii. O oddziaływaniu, które rzekomo zachodzi automatycznie. Nic podobnego! Eucharystia obejmuje posługiwanie i umywanie nóg tam, gdzie zajmuje ono jej miejsce.

Dla was tu obecnych, którzy angażujecie się w prace Caritas, oznacza to, że działalność polegająca na trosce o bliźnich jest formą eucharystii, że jest to wasza osobista eucharystia. Eucharystia jest sakramentem, ona jest waszym sakramentem! Tak jak jest prawdą, że eucharystia przekazuje Ciało i Krew Chrystusa, tak prawdą jest również, iż w waszym działaniu objawia się działanie Chrystusa. Zaangażowanie w posłudze diakonatu i pomocy charytatywnej jest sakramentem, objawieniem się Boga i obecnością Chrystusa.

Z pewnością nieprzypadkowo Jezus przy końcu ustanowienia eucharystii i przy końcu umywania nóg używa tej samej formuły, wzywając do naśladowania. Pod koniec eucharystii mówi:

Czyńcie to na moją pamiątkę!

A pod koniec umywania nóg:

Dalem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak ja wam uczynilem (J 13,15).

Ta sama formuła! Ta sama formuła, aby lepiej przekazać myśl, że prawdziwa eucharystia jest tutaj! Święty Jan, będąc mistykiem i posiadając intuicję, przeczuł, że Kościół uczyni z eucharystii rytuał jako cel sam w sobie, rytuał odizolowany, rzeczywistość tylko i wyłącznie sakralną. Dlatego też postanowił zaniepokoić egzegetów wszystkich przyszłych pokoleń i nie wspomniał o eucharystii. Chciał, aby w ten sposób zadawali pytanie, czym ona naprawdę jest, i wreszcie przestali z niej czynić abstrakcyjny rytuał ...

Spójrzmy też na sakrament pojednania. Również z niego uczyniono wyodrębniony rytuał, który zazwyczaj odbywa się w ponurym konfesjonale, gdzie miejmy nadzieję, znajduje się przychylnie usposobiony ksiądz. Udziela on rozgrzeszenia, mówiąc: „Odmów trzy Zdrowaś Mario i trzy Ojczy Nasz”. I już jest się pogodzonym z Bogiem. Jeśli jednak otworzymy Ewangelię, zobaczymy, iż Chrystus mówi dwa razy:

Wszystko, co zwiążecie na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie (Mt 18, 18).

Raz mówi to do Apostołów (J 20, 23, por. także Mt 16, 19), a raz do ogółu (Mt 18, 18), a więc do wszystkich ludzi.

Innymi słowy, jeśli prosimy siebie nawzajem o wybaczenie, to już jest to sakrament. Przez nasze wybaczenie trafia do serca Boża łaska, Boże przebaczenie. Jeśli pokłóciłem się z żoną, to nie wystarczy powiedzieć księdzu: „Mam po dziurki w nosie mojej żony. Nie mogę jej już znieść. Ciągle się z nią kłócę. Doprowadza mnie do pasji”. Nieporównanie trudniej jest zamiast do księdza pójść do swojej żony i powiedzieć jej: „Słuchaj, przykro mi, poniosło mnie, bo jesteś trochę nieznośna i ja jestem nieznośny, ale pomimo to spróbujmy kontynuować nasz związek”.

O ileż trudniejsze jest przebaczyć sobie nawzajem, niż prosić o odpuszczenie win księdza! Nie jestem przeciw spowiedzi, w żadnym wypadku, ale chciałbym jasno powiedzieć, że jest ona czymś ważniejszym niż rytuał, który z niej uczyniliśmy. Bo jeśli przebaczam sąsiadowi i podaję mu rękę wraz ze słowami: „*I'm sorry*”, to w tym geście jest obecny Bóg i to jest sakrament. Jeżeli go obejmuję, mówiąc mu: „Było, minęło, zapomnijmy już o tym”, to jest to sakrament. Uświęcona rzeczywistość nie jest wciśnięta w rytuał. Samo życie jest już uświęcone.

Popatrzmy też na sakrament namaszczenia chorych, nazywany kiedyś ostatnim namaszczeniem. Również i w tym wypadku sądzi się, że jest on związany tylko z określonym rytuałem. Musi przyjść ksiądz ze świętymi olejami, aby odmówić nad chorym modlitwy. Jednak w nowoczesnej klinice tą osobą jest lekarz, który próbuje uzdrowić chorego, wykorzystując całą swoją wiedzę i talent. Jest nią pielęgniarka, która nieustannie krząta się przy chorym, a oleje to glukoza, która płynie do żył chorego, to ratujące życie aparaty. Wszystko to jest w moich oczach prawdziwą liturgią, prawdziwym sakramentalnym rytuałem. Obserwując to, co dzieje się w sali operacyjnej lub na oddziale intensywnej terapii, uważam, że Bóg przyjmuje tam postać ludzką, aby uratować chorego za pośrednictwem chirurgów, lekarzy, pielęgniarek. Przynoszący termometr, mierzący tętno, obsługujący aparaturę — wszyscy oni są uświęconymi osobami. Blok operacyjny, w którym cały sztab ludzi zajęty jest ratowaniem życia chorego, stanowi niezwykle działanie Boga, o wiele bardziej święte, niż określone rytuały nazywane chrześcijańskimi i odbywające się tylko w kościele, w którym może tylko zewnętrzna fasada ma charakter chrześcijański, ale wiara jest słaba. Musimy to, co święte, przenieść z obszaru rytualnego w obszar codziennych nawyków i powszedniości. Świętym jest szpital, świętym jest zespół chirurgiczny, a „kapłanami” poszczególni lekarze i pielęgniarki, którzy podejmują próbę podarowania choremu na nowo życia. Niesłychane! Spróbujmy pożegnać się z pewną utartą postawą duchową i wejść w ową perspektywę świętości, którą przeniknięte jest życie, którą przeniknięta jest codzienność miasta. Szpital jest miejscem świętym, tak samo świętym jak świątynia!

Przed kilkoma laty przebywałem z grupą młodych wolontariuszy w stolicy Sudanu Chartumie, gdy otrzymałem wiadomość, iż właśnie zmarła córeczka portiera. Dziewczynka wymiotowała, jej twarz i całe ciało pokryte było wymiocinami. Leżała w ramionach matki siedzącej, jak to czynią często Sudańczycy, na ziemi. I znajdowała się tam jedna z naszych sióstr zakonnych, klaryska, która była jednocześnie pielęgniarką. Jak tylko się zorientowała, że mała przestała oddychać, rzuciła się na dziecko leżące na ziemi i przycisnęła swoje usta do ust dziewczynki. Mnie samego ogarniało obrzydzenie na widok wymiocin na twarzy tej małej. Ale pielęgniarka nie tknęła nawet swojej chusteczki. Przez pół godziny robiła sztuczne oddychanie usta-usta, aby dzielić z dzieckiem swoje życie i swój oddech i znów przywrócić je do życia. Patrząc na tę

zakonnicę czułem, że wkroczył tu sam Bóg, że sam Bóg tchnął w to dziecko życie. Dostrzegłem w tym sakrament we właściwym tego słowa znaczeniu, ponieważ to tchnienie oddechu przeniknęła miłość, miłość siostry i miłość Boga. To tyle, jeśli chodzi o osobiście doświadczony i żywy przykład sakramentu w tak zwanym życiu codziennym.

Ale istnieje tysiąc dróg, aby zagrożonego śmiercią człowieka przywrócić znów do życia. Jest śmierć fizyczna i jest śmierć psychiczna. Są ludzie, którzy umierają z braku ciepła, życzliwości, z braku okazania im zainteresowania i zrozumienia, i czasami wcale nie chodzi tak bardzo o to, aby robić komuś sztuczne oddychanie, aby podarować mu znów oddech życia, lecz raczej o to, aby spoczęło na nim spojrzenie, które pozwoli mu na nowo żyć. Jak bardzo spojrzenie może dawać życie! Bardziej jeszcze niż oddech pochodzący z płuc, bowiem człowiek nie żyje samym powietrzem i chlebem, człowiek żyje Miłością!

Jest pewien rodzaj spojrzenia na człowieka, na którego tak naprawdę jeszcze nikt nie popatrzył, przez co jego istnienie niewiele się różni od istnienia muru czy drzwi. Przyjrzyjcie się kiedyś jakiemuś towarzyskiemu spotkaniu. Są tam ludzie, do których się mówi i którzy sami cały czas mówią, i są też tacy, do których nikt nie zagaduje i którzy sami nigdy się nie odzywają, którzy po prostu są tam jak meble w salonie, którzy nie istnieją w sposób rzeczywisty, a więc nie mają też żadnego znaczenia, nie liczą się. I oto nieoczekiwanie patrzycie na taką osobę i zwracacie się do niej z pytaniem, jak się nazywa, co robi. („Jest ktoś, kto się mną interesuje? Jeszcze nikt na mnie nie spojrzał. Jeszcze nikt tu nie dostrzegł we mnie ludzkiej istoty. A teraz nagle?”) ... Często ludzie ci tak bardzo są nieprzyzwyczajeni, aby zwracano na nich uwagę, że wydaje im się, że się mylą. Rozglądają się wokół siebie, myśląc, „może on ma na myśli kogoś innego? To nie chodzi o mnie”. „Ależ tak, o ciebie. Ty nie jesteś nikim innym”. Pierwszym nakazem miłości bliźniego jest to, aby na kogoś spojrzeć i swoim spojrzeniem dopomóc mu lepiej, prawdziwie zaistnieć. Spojrzeć mu w oczy i tym spojrzeniem powiedzieć mu: „Ty istniejesz, tak ty! Dla mnie ty istniejesz”. I człowiek ten zaczyna naprawdę istnieć.

Spojrzenie, jakim obdarzam człowieka, na którego nikt nigdy nie raczył spojrzeć, jest sakramentem tak samo autentycznym jak komunია. Moje spojrzenie jest sakramentem. Kiedy po raz pierwszy uśmiecham się do takiego człowieka, nie może on wprost uwierzyć, że jest tym, dla którego przeznaczony jest mój uśmiech. Uśmiech ten staje się sakramentem. Nie czynimy z sakramentów czegoś tajemniczego, rzeczy jedynie świętych. Sakrament ma przede wszystkim wymiar ludzki, a dopiero potem boski! Sakrament jest boski, ponieważ jest ludzki. A sakrament, który nie jest ludzki, nie jest boski. To, co ludzkie staje się wówczas boskie, jeżeli stało się głęboko ludzkie. Bóg wyłania się wówczas, gdy wymiar ludzki, stawszy się prawdziwie ludzkim, jest nim w całej swej pełni.

Niektórym spośród tu obecnych narażę się tym, co powiem, nie szkodzi. Gdy widzę w kościele wszystkie te cenne obrazy, ten marmur, czerwone dywany, połyskujące złotem kielichy, wszystko tak piękne, wszystko tak wspaniałe, nie mówiąc już o haftowanych, wykonywanych latami przez karmelitanki ornatach, wszystkie w najlepszym gatunku, a kościół wysprzątany na wysoki połysk, i słyszę słowa: „Wszystko to dla Pana!”, i gdy następnie myślę o sytuacji w Egipcie, gdzie dzieciom jest gorzej niż w Europie psom, to mam ochotę pochwycić wszystkie te pełne przepychu kościoły, zlicytować je i powiedzieć: „Chrystus o wiele bardziej mieszka w tym biednym dziecku, niż w tym bogatym kościele”. Oderwaliśmy Boga od życia i uczyniliśmy rzeczy, jakich On na pewno nie chce. Przychodzi mi tu na myśl święty Jan Chryzostom, który na temat kielichów już na początku piątego wieku wyrażał się ze zgrozą i oburzeniem:

Zdobicie te kielichy złotem i diamentami, podczas gdy Chrystus stoi pod waszymi drzwiami i z głodu jest bliski śmierci.

Ta odwieczna skłonność do wierzenia, iż Boga czci się w określonych ramach czy w jakimś obrzędzie, podczas gdy żywy Bóg, drżący, będący w potrzebie stoi przed naszymi drzwiami i czeka.... Uwaga! Tu chodzi o wiarygodność Kościoła!

Niekiedy można usłyszeć opinię, że nasza epoka utraciła wiarę, ponieważ ludzie nie chodzą już do kościoła, ponieważ już się nie spowiadają, ponieważ rzadziej przyjmują komunię świętą lub też stają się coraz bardziej krytyczni wobec Kościoła. To niepokoi. Ale czy to, co ma obecnie miejsce, nie jest czasem zdrową reakcją na „pewien rodzaj” wiary, na „pewien rodzaj” religii, „na pewien rodzaj” religijności? Reakcją na religię, która wciśnięta w ramy stała się celem samym w sobie? Ja raczej zadaję sobie pytanie, czy współczesny człowiek nie odkrywa właśnie chrześcijaństwa na nowo, prawdziwego chrześcijaństwa! Nie chrześcijaństwa Kościoła, lecz chrześcijaństwa życia, istnienia, dnia powszedniego.

Czasami zarzuca mi się, że takimi poglądami pozbawiam religię *sacrum*. Odpowiadam na to: „i tak, i nie”. Rozsadzam ramy religii, rozbijam w drobny mak błędne praktyki, aby religia stała się wreszcie religią życia, a tym samym religią egzystencjalną! Tak, walczę z religijnością pewnego typu, miażdżąc ją niczym orzech, aby religia stała się religią dnia powszedniego, religią życia. Religią z krwi i kości, religią, która w moim życiu może zapuścić korzenie. Ja nie desakralizuję świata, ja go resakralizuję. Odrzucam zamknięty święty krąg, a w jego miejsce wprowadzam element świętości w każdą zwykłą ludzką, powszednią rzeczywistość. Wszystko jest święte! Nie: „Nie ma nic świętego”, lecz: „Wszystko jest święte”. Wszystko jest święte!

A jeśli wynikiem naszego religijnego nauczania nie jest nadanie sensu codziennemu ludzkiemu życiu, to spartaczyliśmy sprawę. Wszystko jest zaprzepaszczone! Nie chodzi o to, aby podawać

religijne treści w celu indoktrynacji. Chodzi o to, by doprowadzić ludzkie życie do rozkwitu, nadać mu sens i znaczenie. To jest prawdziwa nowa ewangelizacja, której potrzebujemy.

Mówi się o nowej ewangelizacji, nie wiedząc, o czym się właściwie mówi. Zawsze sądzimy, że nowa ewangelizacja oznacza rozpoczęcie od nowa dawnej ewangelizacji. Ale ludzie nie słuchają już tego, co mówimy. Dość nasłuchali się naszych kazań, ta płyta jest już zgrana. Z powodu tego „niechodliwego towaru” nie przychodzą już do kościoła, jak mi mówią. Cóż zatem innego może oznaczać nowa ewangelizacja, o której mówi papież Jan Paweł II, jeśli nie tchnięcie w religię nowego ducha, nadanie jej nowego znaczenia, uczynienie z niej czegoś egzystencjalnego! Jeśli Ewangelia nie jest Dobrą Nowiną (dobrą, nie złą), jeśli Ewangelia nie zmienia mojego życia, nie nadaje mu sensu, to po co w ogóle jest Ewangelia, po co? To nie Ewangelia jest czymś absolutnym, lecz człowiek.

Ewangelizacja „chwyci”, gdy przesłanie, które głosimy, będzie przemawiało do ludzi, gdy rozjaśni ich życie i uczyni ich szczęśliwymi. Kościół to nie kardynałowie czy biskupi, ale to wy i ja. Nakazem chwili jest jak najszybsze wymyślenie nowego języka, aby przemówić do dzisiejszych ludzi! Ja nędzny, mały Boulad ośmielam się domagać przełożenia przesłania Jezusa na język naszych czasów, aby zostało ono dostrzeżone jako coś dla nas istotnego. Celem moich książek nie jest nic innego, jak tylko ożywienie religii i przypomnienie jej egzystencjalnego charakteru prostymi słowami, a nie teologicznie skomplikowanymi. I jest to wyzwanie dla całego Kościoła. Czy znajdzie on nowy język, czy też będzie wiecznie, wciąż od nowa przeżuwał wszystko w starym stylu? Tu leży sedno sprawy.

Kończąc, pragnę poczynić uwagę, iż wszystko to, co dzisiaj powiedziałem, stanowi ostateczny sens wcielenia. Wcielenie Boga miało miejsce, aby uświęcić świat, uświęcić materię, uświęcić spotkanie z drugim człowiekiem, uświęcić miłość, uświęcić ludzkość i uświęcić każdego z nas. Bóg wcielenia jest Bogiem chleba i wina. Ale jest On również Bogiem dnia powszedniego, Bogiem spotkania, a każdy sakrament nie jest niczym innym, jak tylko kontynuacją wcielenia Boga. Każda rzeczywistość stała się sakramentalna przez to, że Chrystus wchłonął ją w siebie. Świat to rozszerzone Ciało Chrystusa. My jesteśmy Ciałem Chrystusa.

A wy, którzy działacie z ramienia Caritas, jesteście kapłanami i kapłankami Jezusa. Pamiętajcie, gdy rozdzielacie lekarstwa i odzież, to udzielacie sakramentu. Jeśli kładziecie na chorym rękę, odczuwa on na swoim czole świadomie lub nieświadomie obecność i czułość Boga. A gdy odwiedzacie chorego w szpitalu, to czuje on, że Jezus go odwiedza. Jesteście sakramentem Boga, jesteście kapłanami Boga, jesteście obecnością Boga w życiu wszystkich tych, którym pomagacie i których kochacie. Jesteście Bożymi aniołami. Tak, jesteście aniołami. Nie aniołami i archaniołami, serafinami i cherubinami, którzy tam w górze krążą, unosząc się na swoich

skrzydłach, ale tu na ziemi jesteście aniołami. Każdy z was. Istota sprawy polega zatem w waszym wypadku na tym, abyście byli uwrażliwieni na Boże wezwanie i abyście czuli, że macie przesłanie do przekazania oraz zlecone zadanie do wykonania, i że dzięki wam Jezus żyje dalej. Jezus objawia się dziś w Salzburgu właśnie przez was i przez Caritas waszej archidiecezji.

Zakończę krótką medytacją.

Ty masz nasze ręce, Ty masz nasze oczy...

Panie, jeśli nie jesteś już z nami
w swej dawnej ludzkiej postaci,
to dlatego, że chciałeś,
abyśmy my stali się Twoją obecnością
pośród dzisiejszych ludzi.

Nie masz już swoich rąk,
lecz masz nasze ręce,
nie masz już swoich oczu,
lecz masz nasze oczy.

Nasze ręce, aby z czułością gładziły czoła
chorych i starych.

Nasze oczy, aby spoglądać na nich,
i aby spojrzeć na tego,
na którego nikt dotąd nie spojrział.

Masz nasz uśmiech,
aby odkryli na nowo smak życia ci,
którzy go utracili.

Każda z naszych ludzkich czynności, Panie,
może być czynnością świętą,
rzeczywistym sakramentem.

Daj nam w tym duchu
uświęcić nasze życie i naszą pracę,
przez dostrzeżenie jej doniosłości,
i uczyn z naszej działalności w Caritas
Twoje działanie.

By tak się stało, obdarz nas swoją siłą,
abyśmy lepiej umieli kochać,
i swoim Duchem,
abyśmy mogli lepiej dotrzeć do serc tych,

którzy stanęli na naszej drodze.

Amen.